

sobą, mogłaby go przynajmniej teraz pielęgnować. A zresztą, może i to lepiej, mogłaby w tej dziurze zapaść, a tam w San Raimondo jest zupełnie bezpieczna...

Trench zastrzyknął choremu jakieś lekarstwo, po którym Billy obudził się i zapytał słabym głosem: — Czy to wy, Trench?

— Tak, to ja, mój przyjacielu! Jak się pan czuje?

— Trench! — krzyknął nagle dzikim głosem chory. — Małgorzato!... ja nie mogę!

— Posłuchajcie, Billy—łagodnie zaczął Trench. — Nie trzeba się tak wzruszać. Mogę pana zapewnić, pańskiej żonie nic się złego nie stało i że jest ona zupełnie bezpieczna w San Raimondo. Za jakie dwa dni i pana tam wyprawimy pierwszym parostatkiem. Tam się pan wkrótce poprawi...

Ale Billy znowu stracił przytomność. Zaczął na nowo jęczeć i bredzić i żalosnym głosem wołać Małgorzaty. O ileśmy mogli zrozumieć z jego majaczenia, niepokoił się on o nią tak, jakby jej groziło jakieś straszliwe niebezpieczeństwo.

Byliśmy zmieszani i nie wiedzieliśmy, co myśleć o tem. Gdyby coś się wydarzyło jego żonie, nam danoby znać, przecież teraz nasza stacya ma już zaprowadzone połączenie. Mechanik, który przyjmował pierwszy telefonogram wiedziałby już, że coś złego z nią się stało. Na wszelki przypadek bowiem zawiadomiliśmy San Raimonda, aby pani Wilmauth zakomunikowano, że mąż jej jest chory i że za kilka dni wysyłamy go do niej.

— Co by to wszystko mogło znaczyć? — odezwałem się w zupełnej niepewności.

Trench ruszył ramionami i rozpuściwszy w dwóch kieliszkach z wodą proszki chininy, dał mi jeden z kieliszków. Miałem już zamiar połknąć ten zawsze wstrętny napój, jakkolwiek, zdaje się, mogłem już do niego przywyknąć, ale naraz przypomniałem sobie naszą nowość i wyciągnąłem kieliszek do Trenchy:

— Połączenie zaprowadzone! — wygłosiłem uroczystym tonem.

Traciliśmy się tym oryginalnym napitkiem.

— Pan może uważa nas za ludzi lekkomyślnych lub bez serca za ten dziecinny żart przy łożu chorego? Ale trzeba pamiętać o tem, żeśmy przez cały rok ryzykowali dla tej roboty życie równie, jak on. Byliśmy, jak maniacy, przejeżdżając jedną tylko myślą — nie zważyć się z nóg, dopóki robota nie zostanie ukończona. I jestem pewny, że gdyby Billy był przytomny, on również przyłączyłby się do nas i wygłosiłby ten sam toast, choćby nawet wiedział, że za godzinę umrze. Taka już jest nasza robota...

Trench znowu poszedł na stację i przy sposobności prosiłem go o polecenie mechanikowi, aby łączył naszą stację z San Raimondo co pół godziny. Sam zaś rozwiesiłem swój hamak i zabierałem się już do wynagrodzenia sobie za poprzednią noc bezsenność. Ale ledwie tylko zamknąłem oczy, przekłęty milionowy chór głośniejszych podzwrotnikowych owadów, jakby naumyślnie, rozpoczął śpiewać, gwizdać, skrzypieć, świstać na wszystkie tony i ta piekielna ka-

pela zagłuszała nawet głos wciąż mającego Billego, tak, że ja tylko dzięki osłuchaniu się rozróżniałem w tem majaczeniu wciąż jedno tylko i to samo słowo: „Małgorzato! Małgorzato!...”

Powoli jednak chory wciąż podnosił głos i po pewnym czasie on już to „Małgorzato!” krzyczał głosem żalosnym, pełnym niewymownej rozpacz i jęczał bezustanku. Nie mogłem już wytrzymać i zatelefonowałem do Trenchy:

— Proszę powiedzieć mechanikowi, aby czerpnie zapytał San Raimondo, jak się ma żona Billego, ten biedak po prostu traci zmysły.

Za jakąś minutę usłyszałem przez telefon głos mechanika, wołającego San Raimondo. Czy pan słyszał kiedy telegraf bez drutu „przy pracy”? Nawet na pewną odległość pan słyszy suchy trzask zupełnie, jakby nad pańskim uchem ktoś rozdzierał perkal. Słyszałem więc: „Trrr, trrr!... Jak się ma pani Wilmauth, pyta jej mąż”.

A potem cisza. Położyłem się znowu i zacząłem czekać, aż Trench zadzwoni i zakomunikuje mi odpowiedź. Kapela owadzia, jakby zmówiwszy się, nagle zamilkła i zasnęła.

Nie wiem, ile przeszło czasu do tej pory, kiedy się nagle zerwał na równe nogi, dziwiąc się, że Trench tak długo nie dzwoni. W hamaku obok Billy rzucał się jeszcze okropniej, niż przedtem. Ująłem za słuchawkę telefonu.

— Co odpowiedzieli z San Raimondo? — zapytałem Trenchy.

— Dotąd nie możemy otrzymać żadnej odpowiedzi — usłyszałem jego zaniepokojony głos. — To dziwne! Coby to mogło znaczyć? Za pięć minut znowu spróbujemy się połączyć.

Czuwałem, chodząc tam i z powrotem po pokoju w jakiejś beświadomości, wciąż wzrastającej trwodze. Opanował mnie nierozsądny, nadnaturalny strach. Pięć minut przeszło, a Trench nie dawał żadnego znaku życia. Nerwowo schwyciłem za słuchawkę. Głos Trenchy odezwał się ostrożnie:

— Cicho! Cicho!... Słuchaj pan!

Odpowiadała nasza stacya i ja czytałem odpowiedź litera po literze, drżąc cały z trwogi i wzruszenia: „Natychmiast wyślijcie ludzi i zabierzcie kobiety oraz wszystkich pozostałych do siebie na stację...”

— Pan zwaryował, Trench? Co za głupstwa pan tam mówi? — brutalnie krzyknąłem, jednocześnie bojąc się odpowiedzi.

I usłyszałem ją zaraz w dwóch strasznych słowach:

— Koczujący Indianie!

Wystarczyło to za szczegóły. Panu prawdopodobnie wiadomo, że do tej pory koczujący Indianie od czasu do czasu napadają na europejskie osady w lasach...

Tu Highens niecierpliwie przerwał Obryckiemu:

— O, prędzej! Prędzej!... Później pan to wszystko mi wyjaśni!... Teraz kończ pan tylko o tem, co się stało!

Obrycki ciągnął dalej:

— Oto, jakie było zawiadomienie, zakomunikowane nam przez mechanika z San Raimondo: na osadę napadła banda koczujących Indian. Oni, jak zwykle, palili wszystko na swej drodze, grabiąc i mordując wszystkich, nie wyłączając kobiet i dzieci...

Trench poradził, aby ze stacyi wysłano uzbrojoną eskortę, któraby mogła panią Wilmauth i pozostałych przyprowadzić na stację. Tam bezpieczeństwo było większe, ponieważ Indianie nie ośmieliły się napaść na stację, z jej wysokimi stalowymi masztami i niezwykle dla ich uszu dźwiękami... Zresztą, gdyby nawet ośmielili się, to gmach stacyi, cały z kamienia i żelaza, stanowił dostateczną ochronę przed napadem.

Przysłuchiwałem się pospiesznej mowie Trenchy i kiedy skończył, odezwałem się do niego:

— Trench! Niech pan sobie przypomni majaczenia Billego!

— Tak, istnieją i inne telegrafy bez drutu, prócz naszego — odpowiedział.

Powiesiłem słuchawkę i opadły zupełnie z sił, rzuciłem się na hamak. Wtem nagle Billy rozdzierającym, przenikliwym głosem krzyknął:

„Idę! Idę! Idę!”

Następnie zaczął się rzucać i usiłował wyskoczyć z hamaka. Rzuciłem się mu na ratunek, ale usłyszałem znowu dzwonek telefonu. Billy tymczasem, wyczerpany wysiłkiem, znowu opadł na hamak.

Trench mówił:

— Z San Raimondo wysłali uzbrojonych ludzi, ale tymczasem cała osada stoi w ogniu i ci zbójcy Indianie opanowali magazyn z bronią... Na razie dalszych wiadomości niema.

Upuściłem słuchawkę i schwyciłem się rękoma za głowę. Dziewięćset kilometrów odległości!... Znowu podszedłem do telefonu i zacząłem czekać. Nagle rozległ się głos Billego, tym razem pełen zachwytu i taki niepodobny do poprzedniego: „Małgorzato! Moja cudowna Małgorzato, tyś przyszła do mnie...”

Obróciłem się, nie wypuszczając z rąk słuchawki i nie zdążyłem jeszcze krokiem postąpić ku niemu, jak Billy podniósł się z łoża, niby na czyjeś spotkanie, wyciągnął ramiona, jakby chciał kogoś objąć, wyprostował się na całą swą wysokość a potem ciężko zwałił się na podłogę.

Chwiejąc się na nogach, podszedłem do niego i ukląknąłem obok... W tej samej chwili wszedł Trench z twarzą bladą jak kreda i milcząc podał mi papier z ostatnią wiadomością z San Raimondo...

— No, i cóż? — wykrzyknął Highens, z trudnością chwytając oddech.

— W kilka dni później — ciągnął dalej Obrycki — dowiedziałem się, że głowę tej biedaczki żony Billego zbrojny nasz oddział, który nadszedł niestety zapóźno, znalazł zatknętą na pikę u samego wstępu do osady.

K O N I E C.

Jedyny w Krakowie, Zakład pogrzebowy „Concordia” Jana Wolnego
który posiada
własny wyrób trumien — Kraków, Plac Szczepański L. 2 (dom własny) — Telefon Nr. 331.

Przewrót w budowie motorów!
Wertykalne motory dla surowców olejnych
system Henryk Bachrich — inż. F. Huber.
Zużycie materiału palnego **250 gr. m. przy średniej wielkości!**
Bezdyminy, bezwonne, czyste!
Nizkie koszty nabycia! Korzystne warunki spłaty.
Wyłączne zastępstwo na Galicyę i Bukowinę do oddania.
Towarzystwo komandytowe
BACHRICH & Co., Wiedeń, Heiligenstadt.
Żądacie prospektu Nr. 701.

Józef Płonka
zegarmistrz genewski
w Krakowie, ul. Szewska 12
wykształcony zagranicą, były wieloletni współpracownik w Paryżu i we fabryce zegarków Badolletta w Genewie.
Poleca Szan. P. T. Publiczności
swoją skład zegarków artystycznych genewskich, zegarów pendulowych wszelkich stylów, budzików paryskich i amerykańskich, zegary elektryczne, łańcuszki złote, srebrne i double.
Wykonuję naprawy pod gwarancją. Przymiuję zamiany.
Posiadam zegarki: Patek Philippe, Badollet, Mermod, Longines, I. W. C. Schaffhausen, Roskopy, Omega i inne tanie na podarki.

LILIOWE MYDŁO Z KONIKIEM
firmy Bergmann & Co., Tetschen a. Elbe
jest coraz bardziej ulubionem i rozpowszechnionem, dzięki jego uznanej skuteczności przeciw piegom i jego udowodnionem, nie-doścignionem co do racjonalnego pielęgnowania skóry i piękności. Tysiące listów z uznaniem! Wiele nagród pierwszorzędnych. Baczność przy zakupie! Uważać należy wyraźnie na oznaczenie „konik” i na pełną firmę! Po 80 hal. Do nabycia w aptekach, drogueryach, perfumeryach etc. Tak samo wypróbowany jest Bergmann krem lilowy „Manera” (70 hal. za tubę, cudowny do utrzymania delikatnych rąk damskich).

AKADEMIA INŻYNIERYI
w Wismarze a. d. Ostsee
dla inżynierów do budowy maszyn, elektryki, budownictwa i dla architektów. — Specjalny kurs dla betonu żelaznego, kultury i kolonialnej techniki. — Nowe laboratorium.

Zmiana lokalu! Handel delikatesów, restauracya i pokoje do śniadań pod firmą **Karol Wołkowski Kraków** obecnie Rynek główny L. 15 (róg Grodzkiej). Telefon 366. Wydaje obiady z trzech dań po K 1.10

KIMONO WYŁĄCZNY MAGAZYN i PRACOWNIA Kraków, ul. Karmelicka L. 7 Zamówienia skutecznie do 4 godzin. **BLUZEK**